

P. O. Tel.

8191

P  
K



B. I. 1. 34.

In. 2052.

11  
1. 0. 2052.



BIBLIOTEKA  
ŁAŃCUCKA



June 434 18,  
A 33

1. 1000

11

63

# POEZYE

MIECZYŚŁAWA ROMANOWSKIEGO.



LWÓW 1863,

NAKŁADEM KAROLA WILDA.

Bayerische  
Staatsbibliothek  
München



81/43500

## SPIS RZECZY.

### I.

	Strona
Kiedyż? . . . . .	3
Nocna jazda . . . . .	4
Prośba . . . . .	13
Rolnik podolski . . . . .	14
Pogrzeb wojownika . . . . .	16
Zachcenia . . . . .	17
Sen . . . . .	18
Kochałem - Kocham . . . . .	20
Co tam marzyć . . . . .	22
Czy wiosna . . . . .	23
Do . . . . . prośba o orła . . . . .	24
Nowa znajomość . . . . .	25
Sztandary w Kremlu . . . . .	28
Audaces . . . . .	30
Hymn polski . . . . .	32
Do modlącej się Polski . . . . .	35
Pożegnanie . . . . .	38
Pieśń młodej wiary . . . . .	40

## II.

	Strona
Ostatnie słowa . . . . .	45
Ptaka wędrownego . . . . .	48
Legenda . . . . .	55
Przewodnik w puszczy . . . . .	60
Ojcowskie słowo . . . . .	81
Śmierć Zyszki . . . . .	87
Kanonik Pstrokoński . . . . .	92
Dziadus . . . . .	96
Rabin . . . . .	99
Sen pana Bowblewicza . . . . .	101
Śmierć Levitoux . . . . .	109
Dzieweczka . . . . .	112
Sestyny (finale) . . . . .	117

---



**I.**



## KIEDYŻ?

Nam dzisiaj tak w duszach, jak kiedy się wiosna  
Z zimowej wyrywa niemocy.  
To smutek i żalność, to zorza radośna,  
To rozpacz jak wichur północy.

Ach! kiedyż za ciebie w bój skoczym spragnieni  
O! Polsko, ty matko miłości?  
I kiedyż przy huku dział, trzasku płomieni  
Podniosiem okrzyki wolności?

I kiedyż uczynim, swobodni oracze,  
Lemiesze z pałaszy skrwawionych?  
Ach! kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze,  
Prócz rosy pól naszysz zielonych.

1857.

## NOCNA JAZDA.

„Zamiast szczęścia dziki koń.“

*Tom. Olizar.*

Nad polami u nas nocą  
Złote gwiazdy się migocą.  
Niby nocnej sygnaturki  
Dzwoni w zbożach głos przepiórki,  
Skrzek koników, świerszczów wrzawy,  
Przepióreczkom wtórzą z trawy;  
Tędy chaty w cieniu lip,  
Tam mgła płąsa pasmem skib,  
Tu — jak tuman czarnych chmur —  
Zdała widno stary bór;  
Księżyc krwawo wstaje z jaru  
Niby luna od pożaru.

Śpijcie twardym snem ujęci!  
Dla was szkoda nocnych kras.  
Śpijcie, żyjcie bez pamięci!  
Koniu dalej! czas nam — czas!  
W duszy boleść, w oczach skry;  
Serce, stawka strasznej gry —  
Pamięć, trumna chwały, strat; —  
Myśl, latawiec przyszłych lat; —  
W piersi ogień, a na czole  
Marzeń wianek, sny sokole —  
Koniu, dalej! ja na tobie  
Setnem życiem żyję w sobie.

Z tchnieniem wiatru pieśń się mięsza  
Tam od wioski, tam od drzew,  
To z wieczornic wraca rzesza,  
I miłośny nuci śpiew.  
Szczęśni oni! koniu wrony  
Ciszej, ledziej, niech te tony  
Nakształt rosy pierś obsiędą,  
Może dla mnie wróżbą będą.

Łza w mem oku, uśmiech w sercu —  
Klękneź z tobą na kobiercu?  
Ty mi podasz białą dłoń?  
Grzmią organy, my w kościele  
Ręka w rękę; — ty aniele  
Okrążyłaś wiankiem skroń.

Boże! Boże! co ja marzę!!  
Północ już na gwiazd zegarze —  
Tam po chatach światła gasną —  
W mojem sercu cicho — jasno —  
Szmer nademną piór anioła,  
Wonny pacierz szemrzą zioła,  
Kaźde zda się „Kocham!“ woła.

Koniu wrony w cwał — o! spiesz.  
Podkówkami ognia skrzesz.  
Do niej, do niej po za bór:  
Tam nad rzeczką biały dwór;  
Tam z pagórka szlak się zgina,  
Rajskie ptasze tam jedyna

Tędy, tędy w bok po moście —  
Tam zmodlone z nieba gościę.

Ale darmo! stój, o! stój.  
Szał mię uniósł koniu mój.  
Biały dworzec z tąd daleko  
Za błoniami tam, za rzeką.  
A ja marzę, roję tak:  
Że tam zlecę jakby ptak.  
Choć bym zleciał — — — Boże, Boże!  
Cóż, gdy serce me otworzę,  
Gdy jej wyznam miłość całą,  
Podaż ona rękę białą?  
Podaż rękę, pokraśnieje?  
Powiedz do mnie: „Miej nadzieję!”  
Powiedz: „Kocham!” czy odtrąci?  
O! jak to się w głowie mąci —  
Może każe aż w mogile  
Zapomnienia znaleźć chwilę —  
W cwał mój koniu! w dal samotny  
Pędzę jako wichher lotny.

Straszno, dziko w nocnej głuszy!  
Gdybyż wydrzeć boleść z duszy,  
Gdybyż sercu ulżyć trocha,  
Co tak wre, tak kocha!  
Kiedys przyjdzie zniknąć z bólu,  
Jak jęk niknie w pustem polu,  
Którym rozpacz szlocha.

Tyle jasnych skier na niebie — —  
Gwiazdy, kto wam światła dał?  
Wy jak ziarna, co po glebie  
Doświadczony rolnik siał.  
Wielkie dzieło skrytej dłoni!  
Wzrok zdumiony ku wam goni,  
A w natchnienia blasku dusza  
Słyszy jak się świat ten rusza.  
Ale gdzież ma droga, gdzie?  
Myśl jak sokoł w dal się rwie —  
A tam środkiem mleczna rzeka  
W poły kraje niebios łąn;  
Skąd wypływa? gdzie ucieka?  
Siebę kiedy zbierze Pan?



W cwał mój koniu, dalej w cwał!  
Księżyc błysnął z poza skał;  
Włos mu srebrny spływa z głowy:  
Siejby pańskiej to polowy;  
Nocą schodzi cały łąn,  
Czy gdzie szkody nie ma Pan.  
Teraz tędy, przez tę błoń,  
Skąd wiatr taką niesie woń,  
Środkiem kwiecica, trawy, w dal,  
Gdzie się rosa skrzy jak stal,  
Gdzie się iskrzą łąny całe  
Jak by wojska zmartwychwstałe.

Lecę, lecę, konia grzywa  
W koło szyi gnie się, pływa,  
Za mną wichur dziko śpiewa.

Przy ogniskach nocnych straże:  
Obóz, działa, tam husarze,  
Tam pancerni, tam kozactwo,  
Król, hetmani, całe bractwo.

— Witam bracia! o! i u mnie  
Dwoje skrzydeł sterczy dumnie,  
Twarde piersi, silna ręka,  
Broń ostrzona z boku szczeka —  
Lećmyż, lećmy w cwał! na boje  
Bronić czyste gniazdo swoje.

Kto wytrzyma tej potędze?!  
Lecz gdzie hetman — on, w siermiędze?  
Miejsca, miejsca! dlań na przedzie,  
On w bojowy tan niech wiedzie!

Koniu! gdzież my się zagnali?  
Tam mogiły widno w dali;  
Na mogiłach z dawnych lat  
Śpiącej sławy rośnie kwiat.

Za wiek trudów tylkoż tyle?  
Wonny kwiatek na mogile?

Stój! niech ujrzę smętny kwiat  
Co tu z dawnych rośnie lat,  
Niech go spytam co nam z dala  
Na brzeg rzuci czasu fala.

Gdybyż teraz, o mój koniu,  
Ten zachodni, ciepły wiew  
Zawiał pieśnią po tem błoniu,  
Słodką jak piastunki śpiew:  
Co to dziecku przyszłość wróży  
Drogę do niejednych bram;  
Orli żywot światła, burzy —  
Ach! ja jedną taką znam.

Kiedyż, kiedyż przyjdzie czas?  
Krzywda rośnie jako las;  
Z polskiej siejby serca rosna  
W miłość, jako kwiaty z wiosną;  
Hart i mądrość w ducha toni,  
Ktoż podniesie głos: „do broni!?”  
Krew jak polny kłos dojrzewa,  
Kiedyż dadzą hasło żniwa?!

W cwał mój koniu! ciskaj skry —  
Serce, stawka strasznej gry;  
Pamięć, trumna chwały, strat,  
Myśl — latawiec przyszłych lat,  
Koniu! dalej; ja na tobie  
Setnem życiem żyję w sobie.

. . . . .

Cyt! tam błyska ranna zorza;  
Ranna zorza, wróżba boża.

1857.

---

## PROŚBA.

Błogosław Boże rolnika dłoni,  
Nie dopuść nigdy nań głodu.  
Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni;  
Gdy zbiera, użycz mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy twą wolę  
Spełniają w bratniej miłości.  
Jasną im ciszą opromień dolę;  
Twój anioł niech u nich gości.

Nam budzicieli wielkich o! Panie,  
Harfiarzy daj miłujących —  
A kiedy naród zbudzon powstanie,  
Daj wodzów w naród wierzących!

1859.

## ROLNIK PODOLSKI.

Cztery wolki na ugorze  
Ciagną pług przez pole.  
Dumkę nucąc rolnik orze;  
Nie wie jaką rolę.

Gdzie toczono bój z Tatary,  
Zboże mu wyrasta:  
Wiek z pamięci wypadł stary  
Podolskiego Piasta.

Nie wie kto mu kruszył pęta,  
Kto mu niósł zniszczenie.  
Sercem ledwie zapamięta  
Dziada pokolenie.

Dziad coś mówił o zaborach  
W dalekiej przeszłości ....  
Pług zaskrzypiał nagle w z-orach,  
Wyrył miecz i kości.

Rolnik stanął śród rozłoga,  
W sercu żal się budzi!  
Westchnął, pacierz wzniosł do Boga,  
Za pomarłych ludzi.

1855.

## POGRZEB WOJOWNIKA.

Szedł, gdzie orzeł prowadził go biały;  
 Z szablą w ręku szedł na pola chwały,  
 Za ojczyznę niósł tam krew i życie.  
 Ale Polsce rzekł Bóg: „czekaj jeszcze!“  
 Więc na gromów bożych głosy wieszczę,  
 Na pobudkę czekał i dział bicie.

A gdy przeczuł że się dzień już zbliża,  
 W którym Polsce rzeknie Pan; „Wstań z krzyża!“  
 Anioł śmierci wziął mu z piersi ducha.  
 — Na ramiona trumnę jego młodzi!  
 Niech mu śni się że nami przewodzi  
 Tam gdzie kule świszczą i dym bucha.

Idźmy! wrogom w oczy patrzmy dumnie.  
 Precz ze żalem! bo on śniłby w trumnie,  
 Że nam trwoga nadzieję odjęła.  
 A gdy trumnę spuścim do mogiły,  
 Walecznemu na sen wiecznie miły  
 W górę głosy: „Polska nie zginęła!“



## ZACHCENIA.

Dola mi sprzyja; gdzie zwrócę oczy  
 Twarz mię spotyka życzliwa,  
 A jednak smutek serce mi toczy,  
 Tęsknota duszę porywa.

Tam — tajemnicze nęcą mnie światy,  
 Które mi cicha noc pała  
 I chciałbym takie obaczyć kwiaty,  
 Jakich ta ziemia nie miała.

I pragnę ujrzeć zmartwychwstające  
 Narody z anielską chwałą —  
 Albo pioruny takie palące  
 By się aż niebo spękało.

I słyszę nocne słowików granie . . . .  
 Wiosenno — błogo tak wszędzie.  
 Ach! kiedyś — kiedyś wszystko się stanie  
 Piękniejszym, lecz mnie nie będzie.

1859.

## SEN.

Na nędzę świata serce boleśnie  
Drgało mi i zlorzeczyło.  
Bóg mi zagadkę rozwiązał we śnie;  
Gdym zasnął, tak mi się śniło,

Bystremi loty w dalekie wieki  
Nagle mnie uniosł duch biały;  
Wskazał mi Romę u Tybru rzeki;  
W Romie ołtarze gorzały.

Z Romy wygonił Brutus Tarkwina  
Zdarł mu koronę złocistą.  
Na republikę przysięgła gmina,  
Na republikę wieczystą.

I na kapitol ciągnie gromada,  
Wiodą ją Romy bogowie —  
Lecz cyt! stanęli — wołają: „Zdrada!  
Zdrajcami Bruta synowie!“

Spokojnie Brutus okrzyków słucha —  
Na sprawne skinął liktory,  
I cisnął słowem jak gromem z ducha:  
„Poostrzcie ciężkie topory.“

Umilkła rzesza, bledną sędziowie,  
Brutus z ławicy powstaje;  
Rzecz do winnych: „Zdradni synowie,  
Podziemnym bogom was zdaję!“

I na pierwszego skinął liktora  
Obrońca Romy surowy.  
Dwukroć błysnęło ostrze topora,  
Dwu synów upadły głowy.

Znikł sen . . . . Nie gonią od nas Tarkwinów —  
Od stali lepsze dziś złoto.  
Gdzie pójdziesz, zdybiesz Brutusa synów . . . .  
Gdzież ojce z Brutusa cnotą?

1859.

## KOCHAŁEM-KOCHAM.

Kochałem dziewczę . . . . jasne miało oczy,  
Czarowny uśmiech, a jednym spojrzeniem  
Tyle bywało światła na mnie stoczy,  
Że stoję przed nią cichy i ze drzeniem  
Czekam, czy skrzydeł nie rozwinie dwoje —  
Kędyż ten anioł mój? gdzie szczęście moje? —

Darmo jej w świecie szukałem tęsknotą —  
Daremnie smutek wyrywałem z łona.  
Lecz jeszcze miałem jedną gwiazdę złotą,  
Miałem przyjaciół braterskie ramiona; —  
Los nas na różne porozganiał szlaki,  
Na różną dolę. — Kędyż moje ptaki? —

Nie stało moich — poszedłem do ludzi;  
Anioła, braci serce tam szukało.  
O! niech się nigdy w pamięci nie budzi  
Ten czas! . . . . Przebaczam! serce przeboleło.  
Dziś już niczego nie chcę od tej rzeszy —  
Ona mię gniewa czasem; więcej śmieszny.

Dziś pokochałem mary smętne, dumne,  
W głębi mej duszy zrodzone z promieni,  
Wiem, że czas dla mnie ma starość i trumnę,  
Lecz dla nich tylko światło, ich nie zmieni.  
One stać będą nademną i światem,  
Wiecznie wyniosłe, uśmiechnięte latem.

Dziś Kocham przyszłość od gromów czerwoną,  
Która ojczyźnie mojej z niebios zleci.  
Gdy cisza święta ogarnie mi łożo,  
Ten dzień, ta chwila tak przedemną świeci,  
Że proch przed Bogiem z radości w proch padam,  
Bo czuję, że sam w ręku gromem władam.

1861.

## CO TAM MARZYĆ.

Co tam marzyć, o kochaniu,  
O bogdance, o róż rwaniu —  
Dla nas nie ma róż.  
My — jak ptacy na wędrownicy —  
Dziś tu, jutro na placówce  
Może staniem już.

Co śni serce, niech raz prześni!  
W twarde życie twarde pieśni  
Niech wiodą jak w tan.  
A miast ręce rękojęści  
Szczerzy uścisk gdy obwieści  
Z niebios chwilę Pan.

Szczęście, dola później może —  
Ach! lecz tylko ty wiesz Boże,  
Co tam zdybie nas.  
Ty wiesz komu uśmiech miły,  
Komu kwiaty na mogiły  
Niesie przyszły czas.

## CZY WIOSNA?

Skąd lecą ptacy? lecą z daleka,  
W powietrzu gwarzą radośnie.  
Czy to już wiosna? Serce jej czeka,  
Śni nieustannie o wiosnie.

Czy już zielone pola, dąbrowy?  
Czy czas wyruszać na boje?  
Jeszcze na błoniach lśni puch śniegowy —  
O! ucisz serce sny twoje.

I ty mój koniu czekaj spokojny,  
Masz siano wonne we brogu.  
Lecz ty się z wiosną gotuj do wojny!  
Z orężem czekaj nas wrogu!

1862.

## DO . . . . PROŚBA O ORŁA.

(Przy szyciu szkaplerza.)

Sam krzyż? o! krzyża nie dawaj mi siostró.  
Z pierwszą jam marzeń i uczuć godziną  
Wziął krzyż i ciernie w sercu tkwiące ostro —  
Jak mi to brzemie cięży? wiesz dziewczyno.

A jeśli krzyż mi wyszyć chcesz koniecznie,  
Wyszyjże orła na odwrotnej stronie —  
Orła, co biały, a ku słońcu wiecznie  
Patrzy, i trzyma miecz ostrzony w szponie.

Dość już tych modłów bezczynnych do Boga!  
Walk nam nie wolno dla krzyża pominąć.  
Jam ptak — od Boga szablę mam na wroga;  
Mnie walczyć — w walce patrząc w słońce — ginąć.

1858.



## NOWA ZNAJOMOŚĆ.

Stałem w jasne zapatrzony zorze,  
We wieczorną Karpat aureolę.  
Cisza była na polach i w borze,  
W mojem łonie przycichały bole;  
Zapomnienia tknięte ręką białą  
Serce z niebem i ziemią się złało.

Ciche lilje, zdobiące strumienie  
Woń z mych marzeń wzięły i śnieg biały.  
Smutek duszy wzięły borów cienie,  
Fale pieśni moje powtarzały;  
Do stóp mi się kłoniać po kolei,  
W smutne pieśni lały dźwięk nadziei.

Więc po gwiazdach rzuciłem oczyma  
Po świecącej niebieskiej krainie.  
Tak przez morza błądzi wzrok pielgrzyma,  
Nim korabiem z zatoki wypłynię,  
Nim porzuci ziemię, ojców domy —  
Tam za morzem kraj dlań nieznajomy.

I zbliżyła się do mnie dziewica,  
W czystej bieli, z zadumanym wzrokiem.  
Jak posągi greckie miała lica,  
Szła poważnie w myśleniu głębokiem;  
Szła i postać nachyliwszy wiotką:  
„Jam śmierć twoja“ — rzekła do mnie słodko.

„Lewą ręką serce uspię twoje,  
Jako matka usypia dziecinę;  
Prawą oczu przysłonię ci dwoje,  
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę,  
I ulecisz od bólów jak płomień  
W światło, w życie wieczne nowy promień.“

„Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wrócono,  
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały.  
Jeszcze nieba gromami nie płoną;  
Czekaj jeszcze piękny cieniu biały,  
I na polu bitwy o mnie spytaj.  
Teraz — nowa znajoma mi — witaj!“

Stała milcząc, a nad nami w górze  
Z za obłoku księżyc się wyłonił.  
Do pół skronią oparty na chmurze,  
Na tę białą łąkę promienne ronił,  
Na jej uśmiech senny, na spojrzenia  
I odeszła mówiąc: „Do widzenia!“

1858.

## SZTANDARY POLSKIE W KREMLU \*).

Grzmią huczne dzwony na Kremla szczytach,  
Car świętej słucha ofiary.  
A na wyniosłych cerkwi sufitach  
Polskie się chwieją sztandary.

„Sława — o! sława“ — zagrzmiały chóry —  
„W pęta car zakuł Czerń laszą!“  
I zaszumiała odpowiedź z góry:  
„Za waszą wolność i naszą!“

---

\*) Sufit kremliańskiej cerkwi obwieszony jest sztandarami wszystkich narodów, z którymi Moskwa wojowała. Nad carskim tronem wiszą zdobyte na Polakach sztandary z godłem: „Za waszą i naszą wolność.“

„O! buntowszczyki, po carskiem słowu  
Przysięglim na zgubę laszą.“

I zaszumiało u góry znowu:

„Za waszą wolność i naszą!“

Umilkły spiewy, zgasły ofiary,

Car słucha, szepty go straszą —

Spojrzał; nad głową szumią sztandary:

„Za waszą wolność i naszą!“

1857.

---

## AUDACES JUVAT FORTUNA.

Komu tu duszno? Kto tu znużony  
 Walką, w zwycięstwo nie wierzy?  
 Czy się wyrzekły duchów miliony  
 Krwi swych słonecznych szermierzy?  
 Czy do poświęceń nie ma nikogo?  
 Czy natchnień pękła już struna?  
 Precz! małoduszni z twarzą złowrogą —  
 Audaces juvat fortuna!

Żyzna ta ziemia w krew i w nieszczęście,  
 Kochanka śmierci aniołów.  
 Lecz się jak Fenix w orężów chręście  
 Do życia budzi z popiołów.  
 Krwią się nasz zasiew krzewi i pleni —  
 Z pod grobowego całuna  
 Wstańmy, i wlećmy życiem płomieni! —  
 Audaces juvat fortuna!

Ho — Ho! nie straszcie wy nas grobami,  
My znamy czarne ich wnętrza.  
A czem gorętszy piorun nad nami,  
Tem nasza miłość gorętsza.  
Ręka do ręki na uścisk bratni!  
Nam śmierć na polach — nie truna;  
Upadnie pierwszy, stanie ostatni —  
Audaces juvat fortuna.

A czy zwyciężym? Ktoż ptaków pyta,  
Czyli przelecą przez morza?  
Dla płoczej rzeszy droga ubita,  
Na mężnych leży moc boża.  
Skłońmy się Bogu i Pannie świętej  
O oręż, o moc pioruna.  
A kto raz zadrży, trzykroć przeklęty —  
Audaces juvat fortuna.

## HYMN POLSKI.

Ojczyźnie naszej Polsce bądźmy wierni,  
Pokąd tchu w łonie.  
Stójmy wytrwali, gdy wieńce nam z cierni  
Kładą na skronie.  
Nieszczęścia i klęski niech miłość połamie.  
Czy dźwiga nas dola, czy chytrze nam skłamie,  
Ojczyźnie tej życie, krew nasza i ramie,  
I chwała w zgonie.

Tu nam w kolebce dał Bóg światłoienne,  
Tu żywot w znoju.  
Konajac, głowy tu pochylił senne  
W chatach lub w boju.



Tu bracia mrą nasi od ciosów tyrana,  
 I świadczą, że ta nam od Boga wybrana  
 Ojczyzna — ta Polska codziennie kąpana  
 W łez i krwi zdroju.

Tu groby ojców sława opromienia,  
 Tu śpią ich kości.  
 Tu nam się dobić po dniach utrapienia  
 Świętej wolności.  
 Tu przetrwać nam klęski i szarpać kajdany —  
 Tu rodzą nas Sawy, Puławscy, Rejtany,  
 I „hetman w sukmanie“, co kochał sukmany —  
 Tu żyć w miłości.

O! Święta, patrzaj: w twoją krew czerwoną  
 Maczamy dłonie.  
 Pokąd ty w grobie, potąd żadne łono  
 Szczęściem nie spłonie.  
 Niech ostrzy wróg miecze, niech w ludach duch stygnie —  
 Synowska dłoń ciebie z przepaści podźwignie,  
 I będzie Bóg poczczon, a szatan się wzdrygnie  
 I car w koronie.

Stójmyż gotowi jak straż czuwająca,  
Bo nikt nie powie  
W który dzień trąbą zawezwie nas grzmiąca  
Matce nieść zdrowie.  
A w onczas jak piorun, co kruszy i pali,  
W bój lećmy zwyciężać z nadzieją na stali,  
Lub gińmy szlachetni jak ojce konali  
Polski synowie.

1860.

## DO MODLĄCEJ SIĘ POLSKI.

O! módl się Polsko, — dziś ci jeszcze pora  
Czerpać otuchę w modlitwie i pieniu.  
Miłą jest niebu piersi twej pokora,  
I ból w twym słowie, i łza w twym spojrzeniu —  
W cichości jeszcze Pan twych modłów słucha —  
O! módl się Polsko, i pokrzepiaj ducha.

Jak w przeddzień sądu świat pełen jest lęku;  
Niepewne skrzydła czas po nad nim waży.  
Anioł twój jeszcze klęczy z urną w ręku,  
Skrzydłami srebrnych łez nie otarł z twarzy,  
I słucha pieśni, co ku niebu płynie;  
Jeszcze jest smutny, lecz wie o godzinie —

Jeszcze czas! módl się, błagaj przebaczenia;  
Ziemię w niebiosa podnoś w twojem łonie.  
Przebaczaj winnym, ciemnych ratuj z cienia,  
Miej dla zachwianych miłujące dłonie,  
I wodź do świątyń i mów: że tu ciekła  
Krew z twego serca na zagubę piekła.

Módl się — lecz powstań na świtaniu zdrowa,  
Wyniosła pracą ponad zwątpień bole.  
Sumienia twego Polsko, tarcz stalowa  
Świata niech bożą odzwierciedli wolę.  
Tak wyjdź przed domy, i stań po twej męce  
Wsparta na pługu, z szablą w prawej ręce.

Bóg cię nie zmienił na wieczną łzawnicę,  
Matko wyniosłych duchów i rycerzy.  
Gdy dzień twój błysnie, anioł w błyskawicę  
Rzuci krew z urny i w skrzydła uderzy:  
Krew ta czerwono nad światem zapala,  
Ale ty czuwaj, byś nie przesłyszała.

A gdy usłyszysz, spiesz na bitew pola,  
Oreżem wrogom kreślić twoje prawa.  
Trąć z mogił harfy żałobne Eola,  
Za sztandarami wznos radośne: „sława!”  
I walcz, pamiętna że Bóg czynów Bogiem,  
Walcz Polsko jak lew na polach z twym wrogiem.

Lecz biada tobie! gdybyś jak dewotka  
W kościołach gromów przemodliła porę.  
Tam nie ochybne zniszczenie cię spotka,  
I Bóg zostawi cię jak dziecko chore,  
Klęczące we łzach na kościelnym progu,  
A tylko z modłów wiedzące o Bogu.

Obcej cię w onczas poruczy prawicy,  
Abyś w cierpieniach dorosła na męża.  
Lecz nie! ty czujesz hasło w błyskawicy,  
Ty wiesz, że wkrótce czas dobyć oręża,  
I stanąć w polach, jak przed latyś stała —  
O! czuwaj Polsko, byś nie przesłyszała.

1861.

---

## POŻEGNANIE.

Aniołeczko! dziewczę moje,  
Na rozstanie rączkę daj.  
Grają trąbki, czas na boje  
Za rodzinny kraj!

Za was róże, za rodziny —  
W bój za naród z pól i z chat.  
Ach! czekalim tej godziny  
Łzami długich lat.

Podaj rączkę, na mem czole  
Święty znak mi krzyża złóż.  
Liczne ptastwo lecim w pole —  
Iluż wróci z burz? —

Wiele mogił śmierć otworzy —  
Sercom zada wiele ran —  
Głowy zliczył anioł boży,  
Bojem rządzi Pan.

Módl się za nas liljo biała!  
Bogu poleć serca żal;  
Tyś powstańca pokochała —  
Pobłogosław stal!

---

## PIEŚN MŁODEJ WIARY.

(na nutę pieśni Żyrodystów.)

W górę serca! świat się pali,  
Sądy boże głosi dzwon.  
Pruchno zbrodni w gruz się wali,  
W gruz przemocy leci tron.  
Dość już kajdan, łańcuch i kłamstwa dróg!  
W piersiach ludów zmartwychwstaje Bóg.  
Cary — zbiry, z drogi, precz!  
Z narodami Bóg i miecz.  
Bóg nad nami  
Z piorunami  
Cary, zbiry z drogi, precz.

W górę serca! Polska wstaje,  
Krwia obmyta z krwawych plam.  
Uścisnęła ludy, kraje —  
Ludom rzekła: „Pokój wam!“  
Chwała Panu! sługom czarta zgon!  
Święta nasza idzie zasiąść tron!



Z drogi cary! zbiry precz!  
Z polskim ludem Bóg i miecz.  
Bóg nad nami  
Z piorunami —  
Z drogi cary! zbiry precz!

Ze sztandaru orzeł biały,  
Biały anioł z błoni róż,  
Wieje skrzydłem w pola chwały,  
W pola zwycięstw, śmierci, burz.  
Za nim! za nim kędy zwróci lot,  
Nagie piersi nieśmy w bitew grzmot!  
Z drogi cary! zbiry precz!  
Z polskim ludem Bóg i miecz —  
Bóg nad nami  
Z piorunami —  
Z drogi cary! zbiry precz!

Gdzie najgęściej śmierć powiewa  
Z piersi naszych zrobmy wał.  
Umierając Polak śpiewa —  
Pocałunkiem jemu strzał.

Ty nam Święta, żyj po wieków wiek —  
Od mórz dawnych — aż do dawnych rzek!  
Z drogi cary! zbiry precz!  
Z polskim ludem Bóg i miecz.  
Bóg nad nami  
Z piorunami.  
Z drogi cary — zbiry precz!

Kto polegnie, temu sława  
Za spełniony syna ślub.  
Kto się złąknie — hańba krwawa,  
Hańba i bezczesny grób.  
Idźmy! — za nas tam przed Boga tron  
Lecą modły matek, sióstr i żon.  
W piekło cary! zbiry precz!  
Z polskim ludem Bóg i miecz.  
Bóg nad nami  
Z piorunami.  
W piekło cary! zbiry precz!

BSB

Π.



## OSTATNIE SŁOWA.

Czas ucieka,  
Wrony koń go czeka;  
On padł jej do nóg i płacze:  
„Już cię nigdy nie obaczę!” —  
Dosiadł konia  
W cwał przez błonia  
Poleciał, a tam grały pobudkę trębacze.

A dziewczę zostało  
Pod zagrodą białą;  
Marzy:  
— On tak kocha! — Nie może go kochać . . . .  
Marzy, nie wie czy śmiać się, czy szlochać —  
Smutek potem rozlał się w jej twarzy:  
Dusza czuła  
Jego los przeczuła.

A on leci, twarz mu ogniem pała . . . .  
Tam — grzmią działa.  
„W cwał na działa!“ padło od komendy.  
W cwał pomknęły wojowników rzędy;  
Huk od kopyt głuszy szczęk oręży,  
Spisy błyszczą jakby żądła węży,  
Kule lecą jak grad, ziemie ryją,  
I świszczą i wyją;  
Trąby grzmią ze wszech stron,  
A co strzał to komuś zgon.

Z kłębow dymu koniem się wytoczył,  
Spiał go, pierwszy między działa wskoczył,  
Szablę we krwi zboczył.  
Gdzie był sztandar na wale zatknięty,  
Legł u wrogów mąż przy mężu ścięty.  
W tem twarz mu zbielała —  
„Wzięte działa!“

Tak walczone na ziemi  
A górą leciał anioł skrzydłami czarnemi.

I zesiedli wojownicy z koni,  
Obstąpili towarzysza broni;  
On leżał na ziemi.  
Konał; — usta spalonemi  
Cicho wyszeptał imię  
Imię, co z jego duszą wraz na gwiazdach drzémie.

„Szkoda go nam!“ rota zawołała.  
Wieczór nad nim mogiła już stała.

\* \* \*

Dziewczę stało  
Pod zagrodą białą.  
Ten smutek skąd u jej czoła?  
— Zginął w boju! — Nie mogła go kochać —  
Marzy smutno i poczęła szlochać —  
Smutek, to cień od skrzydeł anioła,  
Cień litości — bo wie że jej imię  
Z jego duszą tam na gwiazdach drzémie.

## PTAK WĘDROWNY.

## 1.

Szukali siebie wśród tłumów wzrokiem,  
Sam na sam milczeli,  
I o uczuciu w piersiach głębokiem  
Wspominać nie śmieli.  
A dusze ich były jak zgodne dwie lutnie;  
Czy cieszyć się, dumać, czy westchnąć wraz smutnie,  
Przeczuwać siebie umieli.

On był ułanem legjonów polskich,  
Syn niw podolskich.  
Ona hiszpanka, alkada dziecię;  
Jedyny skarb na tym świecie.



Gdy Saragosę Francuzi wzięli,  
Wdarłszy się w wyłomy,  
Męztwo mordami odpłacić chcieli,  
I wpadali w domy.  
I straszne się jęki rozległy kobiece,  
A ułan z rozkazem leciał przez ulice,  
Jak przez ulice Sodomy.

I zgrozą był zdjęty na Franków zaciekłość.  
W tem spojrział, a przed nim dziewczę nie daleko  
Szasery z rąk starca wydarli i wleką —  
I w piersiach zawrzała mu wściekłość.  
Więc z konia zeskoczył,  
Odebrał im dziewczę i szablą otoczył;  
A ona się cudnym spłoniła rumieńcem,  
Gdy stała pod szabli tej wieńcem.

A gdy się szasery złorzecząc cofali,  
Rodzicom ją oddał i pognął w ewał dalej.

## 3.

I zeszli się znowu.

    Ścigał gieryłasów;

W ramię dostał postrzał wśród oliwnych lasów;  
Miał więc w Saragocie doczekać się zdrowia.  
Koń go niósł do miasta z bojowisk pustkowia,  
I stanął przed domem starego alkada,  
Gdzie cała rodzina witała go rada  
I wdzięczna.

    Nad wszystkich urocza Diana

Serdecznem spojrzeniem witała ułana.  
Na rzesach jej błysło radośnych łez dwoje,  
Spojrzeli po sobie zmięszani oboje;  
Zmięszani, szczęśliwi — Lecz alkad w dom prosi,  
I na cześć ułana wnet puhar wynosi;  
Rad nie rad więc został z alkada rodziną,  
A skrycie na śmierć się pokochał z dziewczyną.

## 4.

Milego słowa Diana czeka,  
Czeka jak zbawienia.

A ułan kocha, milczy, odwleka;  
Milczy jak z kamienia.  
A gdy się namiętnie jej oczy rozżarzą,  
To w onczas ją chłodną powstrzymuje twarzą,  
Ból tłumi; ją gniew spłomienia.

A w noc samotny bił się z myślami,  
Lico miał blade.  
Powstał i jęknął zalany łzami:  
„Jutro pojedę.  
Nieszukać mi szczęścia gdy ręki kraj woła —  
Dianie o! Boże daj twego anioła;  
Niech ma w nim brata i radę.“

I do komendy udał się z rana,  
Rzekł tam: „Wyruszę.“  
Ale odgadła piękna Diana  
Ułana duszę.  
Od bolu i trwogi jak posąg zbielała:  
„Jam duszę na wieki i serce mu dała;  
Nie pójdzie! wstrzymać go muszę.“

I w prost pobięła tak do alkada:  
 „Ojczy ty mój, ginę!  
 Proś go by został!“ — jęła i pada;  
 On podniósł dziewczynę,  
 I pochylił głowę myślami ciężarną,  
 Na dumne swe piersi rzucił odzież czarną,  
 I rzekł: „Tyś u mnie jedyne!“ —

## 5.

Już rumak ułana stał przy ostrokole,  
 Gdy alkad doń przyszedł z zadumą na czole:  
 „Jedziesz kawalerze?  
 Wczoraj mogłem jasno ze słów twoich wnosić  
 Żeś mowić chciał ze mną, że mnie chciałeś prosić . . . .  
 Proszę cię, mów szczerze.“

I głos alkadowi drzał przy każdym słowie,  
 A ułan stał blady, wnet cicho odpowie:  
 „Nie panie alkadzie! —  
 Mnie kraj woła. — Dzięki za chleb i gościnę!

Wspomnijcie modlitwą jeśli w boju zginę —  
Bóg mnogo nas kładzie.“

„Chłopcze! alkad rzeczce — stój! ja cię rozumiem —  
Ja tych dwojgiem oczu w duszę patrzeć umiem;  
Widziałem od razu.

Diana cię kocha! — kocha — tyś pokochał.  
Wiem ja ileś nocy bezsenny przeszłochał,  
W dnie niemy jak z głazu.

„Słuchaj, zostań z nami! — O! głowo ma biedna —  
Jak jedno mam życie, córka u mnie jedna; . . . .

Ona kocha ciebie!

Zostań — weź Dianę!“ — Ułan zmysły traci —

„Weź córkę i skarby a nie spiesz do braci!“

Ułan przeklął siebie.

Ale wnet się porwał, wybiegł, jeszcze z progu

Zawołał boleśnie: „Zostawajcie w Bogu!“

Dosiadł, spiął rumaka.

Diana przez ogród biegła szybkim krokiem,

Alkad wsparłszy głowę śledził chmurnym wzrokiem  
Wędrownego ptaka.

A gdy ułan jechał przez most murowany,  
To Ebro na falach niósł trupa Diany . . . .  
Serce się ścisnęło.  
Na brzegu stał alkad, w toń patrzył surowo . . .  
Po chwili za miastem nad ułana głową  
Kilka kul świsnęło.

---

## LEGENDA.

„I po garści ziemi z ojczyzny zabrali  
W. P.

Różną życia skołatani dolą,  
Raz pątnicy wyszli z polskiej ziemi.  
Jedni z bólem, którym serca bolą,  
Drudzy chcieli przed progi świętymi  
Złożyć starość, grzechy; inni blizny,  
Inni ciężkie nieszczęścia ojczyzny.

Szli do Rzymu. Starzec przewodnikiem  
Białowłosy, z kresami na czole.  
Był rycerzem niegdyś dziś pątnikiem,  
Pomni przeszłość, w piersi zamknął bole;  
Towarzyszów grono starca słucha,  
Bo z ust jego płynie mądrość ducha.

Gdy im tęskno patrzą czy od wschodu  
Ptak lecący wieści nie uczyni.  
Tak zdążyli do wiecznego grodu,  
Do wyniosłej Piotrowej świątyni  
I padają krzyżem na marmury . . . .  
Lampa Piotra świeci na nich z góry.

A wtem słyszą: naród sobie sławi  
Pustelnika co w skale ma grotę:  
„Bóg zeń — mówią — ludziom błogosławi,  
Grzesznym przezeń dawa moc i cnotę;  
Kogo mąż ten relikwią obdarzy,  
Tego szatan tknąć się nie poważy.“

Zapytali przechodniów o drogę;  
Drogę oną każde dziecko znało.  
Jakieś dziewczę z ulicy ubogie  
Drobną ręką stronę im wskazało,  
A ci rzekli: „Pójdźmy! niech mąż boży  
Na strapione głowy dłoń nam złoży.



Idą — ścieżka w skale wykowana,  
W skale grota po za bluszczów cieniem.  
Wyżej groty z kamienia krzyż Pana  
Tkwi, ozłocon zachodu promieniem;  
Przez powietrze lecą ptacy — wonie,  
W dali wieczne morze słońcem płonie.

A mąż boży szedł ze dzbankiem wody,  
Szedł ubogi jak pańscy prorocy.  
Włos miał srebrny, zapadłe jagody,  
W oczach blaski nieśmiertelnej mocy;  
Świętych spokój płynął z jego czoła,  
Gdzie skreśliła życie dłoń anioła.

Więc stanęli pątnicy z daleka,  
Ran mu własnych wskazywać nie śmieją.  
Z każdej piersi drobny ból ucieka,  
Wielkim bolem narodu boleją:  
Dla ojczyzny złotej pragną doli! . . . .  
On ze dzbankiem zbliżał się powoli.

„Zkąd wy bracia?“ — spytał — „Z polskiej ziemi!“  
— „Z polskiej ziemi ludzie? znam jej błonie.  
Czegoż chcecie?“ A starzec z białemi  
Włosy rzecze: „Polska we łzach tonie!“  
— „We łzach tonie? czegoż jej potrzeba?“  
Ci odrzekli razem: „Łaski nieba!“

„Ból przeżegnaj co nam serca pali,  
Skute nasze przeżegnaj ramiona.  
Daj relikwię nam dla naszej stali,  
Bo się kruszy w górę podniesiona.  
My twym darem lud obdzielim cały,  
My nim ojców dobijem się chwały.“

— „Macież z sobą garść rodzinnej ziemi?“  
Mąż ich boży spytał zadumany.  
Białowłosy rękami drżącemi  
Wnet mu bryłkę podaje z sukmany:  
„Z sobą — rzecze — wzięliśmy po bryle,  
By w obczyźnie mieć ją na mogile.“

Mąż tę bryłkę wziął i scisnął w dłoni;  
Ścisnął, a krwi kropla na gładz scieka;  
Nad krwią słyhać jęk — w powietrzu dzwoni  
Skarga duchów lecących z daleka —  
A pątnicy klękają dokoła,  
I gdzie spadła krew, schylają czoła.

Więc mąż rzecze: „Czemuż was przestrasza  
Ta krew ręką moją wyciśnięta?  
Relikwiarzem cała ziemia wasza,  
Krew relikwią, którą Bóg pamięta.  
Idźcie z Bogiem! w miłującej dłoni  
Ziemia wasza krew cudowną roni.

A pątnicy wstają, wielbią Pana,  
Trzykroć: „Chwała!“ rozsyłają w echa.  
Błogosławią ziemi co krwią zлана,  
Błogosławią krwi, bo z niej pociecha  
I wytrwałość . . . . A ty sprawisz Panie,  
Narodowi z krwi tej zmartwychwstanie!

---

## PRZEWODNIK W PUSZCZY.

„Idzie żołnierz, borem, lasem“ —  
*Stara pieśń.*

„Kto się w opiekę poda Panu swemu.“  
*Jan Kochanowski. Psalm.*

Zapamiętał Rejtana, Kościuszkę, legjony,  
Patrzył się na walące i wstające trony,  
Mnogo miał ran na ciele; w sercu jedną chował.  
Z niej jak z kłębka tułaczy żywot mu się snował,  
I nie jedną mu zatrul pierś godziną bolu,  
Do chwały go prowadził po nie jednym polu,  
I nadzieją oblewał, albo krwią gorącą.  
A kiedy w świat się puszczał, pierś miał pałającą,  
I serce dla uniesień otwarte szeroko,  
Śmiałą myśl i na przyszłość wyteżone oko.

Dziś nie zdolen z bagnetem rzucić się na szaniec,  
Wziął do ręki kij gruby, a za pas różaniec;

Nawiedza święte miejsca i Bogu się kłania,  
 Że pośród krwi i zgrozy dał mu moc wytrwania,  
 I nieraz łaską otarł krwawy pot ze skroni,  
 I z Sybiru ojczystej powrócił go błoni.

„Teraz, — rzekł\*) nam — powracam z Baru, z Neapolu.  
 Jak Panna w Częstochowie, Piotr na Kapitolu,  
 Tak tam święty Mikołaj z wielu cudów słynny.  
 Pokłon Bogu za łaski złożyłem powinny,  
 I uczciłem patrona od dzikiego zwierza.  
 Musiałem ślub mój spełnić, bo mój kres domierza.  
 Za Sybir byłem w Rzymie, byłem w Palestynie,  
 A za dobrego zwierza z Baru idę ninie.  
 Święty Mikołaj w borach nawiedził mnie cudem.  
 Bór był wielki, dróg żadnych, a jam znużon trudem  
 Błądził nocą . . . .

„Gorące to czasy i dawne!

O! bogdaj pomyślniejsze były a mniej sławne.

---

\*) Opowiadającym jest pólkownik i pielgrzym Olszewski. Od niego sły-  
 szałem to zdarzenie i starałem się oddać je jego słowami.

Mielim sławę nieszczęścia, poświęcenia, męztwa;  
 Szlim do boju, padali, Bóg nie dał zwycięstwa.  
 Dał nadzieję — pochylał czoło przed nim w skrusic.  
 W ogniach się hartowały jak stal nasze dusze,  
 Żylim daną nadzieją, a każdy cios nowy  
 Spotykał nas hartownych od stóp aż do głowy,  
 Bo i jakże nie miała zatwardnieć tak dusza,  
 Gdy nie stało ojczyzny wraz i Tadeusza?!

„Zdrowiałem z ran, wtem słyszę formują legjony.  
 Kij do ręki, ojczyste pożegnałem strony,  
 I ruszyłem w pielgrzymkę krętymi ścieżkami,  
 By przejść cało, a zima stała już za drzwiami.  
 Radzą: „Czekaj!“ nie słucham. „Zginiesz gdzieś od mrozu.“  
 Ja bym się im był wtedy oderwał z powrozu,  
 Tak mnie gnało . . . . Ruszyłem; w polach białe, smutno;  
 Wiosek rzadziej, dróg rzadziej, za borami Kutno,  
 A mnie droga na Kutno: Ha! myślę, wiedź Boże!  
 Tylem przebył, przebędę puszczy tej bezdroże.

„Poźno było; gwiazd kilka wyblysnęło z nieba . . . .  
 — Dziś do puszczy nie wejdem, gdzieśby przespąć trzeba.

Oglądam się za chatą, pusto, zimno srodze,  
A tu owdzie ślad wilczy na śniegu znachodzę.  
Wtem błysnęło pod puszczą, jakby od krzesiwa.  
Człowiek blisko: hop! wołam, on mi się odzywa,  
I wnet słyszę jak śnieg mu krok za krokiem chrupie.  
Chwała Bogu! znów jedną noc spędzę w chałupie.

„Po chwili stał przedemną wieśniak z pękiem łomu.  
Spojrzał na mnie i pyta: „Skąd wy? jak wy z domu?  
Co prowadzi was tędy?“ Jam zamilkł o celu,  
Bom go nie znał, i rzekłem: „Miły przyjacielu  
Czy dojdę dziś do Kutna?“ On się wielce zdumiał.  
Patrzył we mnie, z pytania znać się dorozumiał,  
I rzekł potem: „Do Kutna? oj! nie tam ci droga;  
Wyście wojak, wy chcecie z Francuzem bić wroga!  
Dobrze! dobrze! lecz chodźcie zanocować w chacie.  
A jak wy się zuchwale w tę drogę puszczacie,  
O! żal mi was!“ I tak się rozrzewnił nademną,  
Że samemu mi w oczach od łez było ciemno —  
Pod siermięgą pierś taka — taka zacna dusza!  
I on był pod Dąbrowskim i znał Tadeusza.

„Stanęlim przed zagrodą — Dziw! istna reduta.  
 W Krągokop, palisady mocne, brama kuta;  
 Myślałem że tu który nasz oddział się schował,  
 I pod puszczą od wrogów tak się oszańcował.  
 A wieśniak rzecze: „Patrzcie, jak my tutaj żyjem.  
 Bór w koło, noc w noc prawie z wilkami się bijem;  
 Okopywać musimy chatę i obory.  
 O! już ja was przed wiosną nie puszczę w te bory.

„I tydzień mi przeminął z wieśniaka rodziną.  
 Biedni byli, lecz nigdy z myśli mi nie zginą.  
 Zadumane ich twarze, szczerłość ich i cnota,  
 Serca im otaczała cisza i prostota.  
 On, jak byś zgroba zbudził kołodzieja Piasta,  
 Ciosał koła i sprychy, len przędła niewiasta,  
 Dziewka warzyła strawę, a dzieciaków dwoje  
 Oprą bywało ręce na kolana moje,  
 I patrzą jak aniołki na mnie, gdy im prawię  
 O kosach raclawickich i Kościuszki sławie.  
 A gdy wspomnę że w drogę czas mi, że grzech czekać,  
 To jak pocznie biedactwo to na mnie narzekać:



„A czy wam zginąć pilno! czy my wam nie radzi?“  
 Tyle mi się łąz naraz przy sercu zgromadzi,  
 Że milknę, a gospodarz smutny przy mnie siada,  
 I o wilkach tej puszczy dziwy opowiada.

„Lecz jeśli Bóg pielgrzymkę raz przeznaczy komu,  
 To go ni łąza ni prośba nie utrzyma w domu.  
 Pójdzie, choć by miał zginąć: Tak było i ze mną.  
 Usnąłem raz, sny dziwne krążyły nademną.  
 Budziłem się, zegnałem, wszystko na daremnie  
 Zasypiałem — lecz serce spać nie mogło we mnie.  
 I obaczyłem we śnie nieznane mi strony —  
 Wiosna była na polach, błękit rozjaśniony,  
 A przy wzgórzu, gdzie srebrny strumyczek się zdroi,  
 Patrząc, stoi Dąbrowski i nasz legjon stoi.  
 Poznają ich: To wszyscy moi towarzysze! —  
 Jedni: Czemu mnie nie ma? zapytali — słyszę.  
 Drudzy rzekli: „Zapomniał!“ — Piers mi się ścisnęła —  
 A wtem legjon zaśpiewał: „Jeszcze nie zginęła“ —

„Pomodliłem się Bogu za tę w śnie przestrozę.  
 Zbudziłem gospodarza: „Bracie, ruszam w drogę!

Rzekłem doń. On się zerwał: „Czy śni się wam panie?“  
 „Śni mi się i wyśniło boże nakazanie,  
 Bym nie marniał lecz spieszył w szeregi do braci.  
 Bywaj zdrów! za twe serce niech ci Bóg zapłaci.“

„Dziatwa w jęki i w prośby, ja trwam niezachwiany.  
 Gospodyni zaklina na Chrystusa rany.  
 Wreście rzekła: „Ha! snać wam Bóg przeznaczył drogę;  
 Idźcież z Bogiem, bo trudy czekają was mnogie!“  
 I wyniosła kobiałkę ze serem i chlebem,  
 Dała mi ją na drogę błogosławiąc niebem,  
 I szkaplerz poświęcony dała mi ze wstęgą.  
 - Chłop zaś ciepłą mi plecy osłonił siermięgą,  
 I uczył jak iść puszcza, gdzie się obłęd kręci —  
 Zacni ludzie! niech Bóg im chowa to w pamięci,  
 I ich dziatwie! Ruszyłem, oni we drzwiach stali,  
 I słyszałem z daleka, że głośno płakali.

„Idę, puszcza przedemną jeszcze w mrok osnuta,  
 Mróz ciśnie, lecz mnie w sercu gra wesoła nuta  
 Pieśni, tej czarodziejki zesłanej od Pana —  
 Śpiewam sobie jak ptaszę obudzone z rana.

Gwiazdy poczęły gasnąć, dzień zaświtał blady;  
 Widna puszcza, ku puszczy wiodą wilcze ślady,  
 Świeżo, dzisiejszej nocy udeptane w śniegu.  
 Mróz mnie przejął: śmierć wita u samego brzegu;  
 Gdy wejdę w głąb, pochłonie mnie tam bez litości,  
 I tylko śnieg przypruszy rozniesione kości.

„A posepnięż ta puszcza z dala wyglądała.  
 W prawo, w lewo bezbrzeżna; z wierzchu szata biała  
 Oślaniała jej wnętrza ponure ciemnice,  
 Gdzie spojrzawszy, myślałeś że wchodzisz w kośnicę,  
 Owieszoną białością na przekor żałobie,  
 Aby się śmierć tak straszną nie wydała tobie.  
 Na skraju cztery dęby jak dziady brodacze,  
 Opodal płaczka brzoza, znać już kogoś płacze;  
 Pochyliła ramiona i bogate włosy,  
 Na które się rzuciły bluszcz i zmarzłe wrzosa,  
 Jak gady obłożone łuską krystalową,  
 Za nią szumiało w puszczy snu wiecznego słowo.

„Nie łatwy ma bywało przystęp do mnie trwoga;  
 Ale ten szum ponury, ta samotna droga,

Te jodeł kolumnady co stały przedemną  
 Smutne, gdzieś w nieskończoność wijące się ciemną;  
 Te zwieszono z gałęzi śnieżyste kotary,  
 Które tu dzień już złocił, tam gubił mrok szary;  
 I jałowce pod śniegiem stojące jak duchy,  
 I ten zalatujący czasami ryk głuchy;  
 To wszystko, dziś ja żołnierz z wstydem wyznać muszę,  
 Taką zgrozą ziębiącą owiało mi duszę,  
 Że stanąłem jak wryty, myśląc że szatani  
 Prowadzą mnie umyślnie w bezmiar tej otchłani,  
 I obłędem mi splączą w puszczy krok tułaczy,  
 A potem ducha porwą w piekło, gdy zrozpaczy.

„Trzeba wrócić i czekać aż Bóg zesze wiosnę.  
 Tak dumając o starą oparłem się sosnę,  
 I z różnych wspomnień wnioski wyciągając różne,  
 Myślałem kędy kroki obrócę podrózne,  
 Bo do chaty wstyd wracać. Lecz wnet duszę skrzeplą  
 Jakieś zdrowe mi w piersiach ocuciło ciepło:  
 „Ludzi wstyd? — pomyślałem — a nie wstydze siebie?“  
 Wstałem się, uczułem, że nademną w niebie

Czuwa Bóg wszechmogący i jego anioły.  
Więc przeżegnawszy piersi ruszyłem wesoły;  
Brnąłem w śniegi lub geste rozdzierałem krzaki,  
Z których wyskakiwały pierzchliwe szaraki,  
I uciekając ślad mi zostawiały w boru,  
A ja tym śladem szedłem w głąb aż do wieczoru.

„Zdało mi się, że puszczy przeszedłem połowę;  
Jutro reszta. Lecz gdzie tu dzisiaj złożyć głowę?  
Znużony byłem wielce; głód i mróz mnie cisnął.  
Księżyc tylko czasami z poza jodeł błysnął,  
I siejąc na śnieg biały iskrzące promienie  
Prowadził mnie przez puszczy tej straszliwe cienie.  
Tak zaszedłem — a pewnie z północy już było —  
Na polanę, gdzie jodłę ujrzałem pochylą;  
Więc wydarłem się na nią tyle, by mnie z ziemi  
Nie dostał wilk lub niedzwiedź pazury ostremi  
I zajrzałem w kobiałkę.

„Tego nie opiszę,  
Jaką ja tam noc miałem, w nocy jaką ciszę,

A czasami ryk jaki wilków, co szły z dali.  
Kiedy rykną, to zda się, że puszcza się wali.  
Zwietrzyły mnie, nadchodzą, stają pod mem drzewem,  
Obwąchują je w koło, patrzą na mnie z gniewem,  
Że daleko im siedzę; skowyczą, coś radzą;  
Odbiegną precz, to znów się pod drzewem gromadzą,  
I skaczą, czy mnie który skokiem nie dostanie,  
Ale darmo. — Ja z góry patrzałem się na nie,  
Trzymając się konarów i modląc się Bogu,  
Bom się iście już widział na wieczności progu.

„Odetchnąłem gdy przeszły. Lecz gdy wilków nie ma,  
Kiedy cicho, powieki skrzepłej sen się ima.  
A zasnąć tu, to znaczy zasnąć już na wieki  
Bez pojednania z Bogiem, bez bratniej opieki,  
I pohodować wilki i nie dojść w legjony! —  
Złote płatki padały na mój wzrok znużony,  
Albo sto gwiazd tańcząc w sen mnie kołysało,  
Tak zem spadał. Więc wtedy w dłoń z zimna skostniała  
Chwytałem śnieg z gałęzi i tarłem nim skronie.  
I tak noc przepędziłem na tym strasznym tronie —

Ach! tylko jeden Bóg wie co się ze mną działo.  
Jeszcze raz przyszły wilki, potem zaszarzało.

„O! światłości, o! dziwna, o! niewysłowiona!  
Iście, samemu Bogu tyś wytrysła z łona.  
I tylko ten, któregoś tak wywiodła z cienia,  
Lub kto ciebie obaczył wychodząc z więzienia,  
Ten wie, czysta światłości, czem twój promień złoty!  
Bóg tworząc cię, uczynił przewodniczką cnoty;  
Przez ciebie mu na ziemi pierwsza zeszła chwała,  
Jak ja, niegdyś tak ziemia na „stań się!“ czekała.  
I stało mi się widno, zeskoczyłem z jodły,  
Złożyłem panu Bogu za noc korne modły,  
I śpiewając ruszyłem przez śniegi, przez kłody,  
Z lepszą wróżbą o jutrze — Jutro? O! duch młody  
Wierzy w jutro jak w Boga, gdy jutro zawodzi,  
Wierzy w drugie i w trzecie . . . . Szczęśliwi wy młodzi!  
Wam się uśmiecha jutro — mnie tam za gwiazdami  
Czeka już Bóg! —

„Więc brnąłem cały dzień śniegami  
Bez chwili odetchnienia, pokąd nóg mi stało.

Kiedym usiadł odpocząć, w puszczy już szarzało.  
 Mróz brał coraz silniejszy, śnieg skrzypiał pod nogą;  
 Wstałem, bo mi się zdało żem się minął z drogą:  
 Chłop mi mówił, że dobrze idąc do wieczoru  
 Jutro ujrzeć mam Kutno wychodząc już z boru.  
 Lecz wieczór, bór nie rzednie, jednaki do koła,  
 Tu, owdzie księżyc złoci białe jodeł czoła,  
 I spojrzy czasem ku mnie smętnie jak na brata,  
 Który w tej dzikiej puszczy zgubi młode lata;  
 Potem chowa się idąc za drzewa i chmury  
 I ciemno mi, a z puszczy słycać ryk ponury.

„Ha — myślę — mozem tylko odbłąkał się bokiem,  
 Jeszcze czas“ — I ruszyłem naprzód śmiałym krokiem.  
 Choć mróz był, pot kroplami ściekał mi po czole,  
 Tak spieszyłem, na bożą spuszczając się wolę.  
 Lecz poznałem, że idąc błędę coraz dalej.  
 Strach, mróz, niemoc, znużenie prawie z nóg mnie wali:  
 W oczach émi się, z za jodeł jakieś duchy, cienie  
 Na pół nęcąc, pół grożąc szłą ku mnie spojrzenie,  
 I wabią w sen. Ja duchy świętym krzyżem gonię,  
 Chwytam śnieg, na pierś kładę, trę nim senne skronie,



Bo kiedy już tak blisko śmierć stawa koło mnie,  
 To chciałbym jak katolik umierać przytomnie,  
 I Bogu wypowiedzieć to czem pierś oddycha.  
 Stałem, i począłem pacierz szeptać z cicha,  
 Pacierz, jak mi się zdało na ziemi ostatni,  
 Którym duch mój świat żegnał spiesząc do wyplatni.

„A w puszczy było cicho; śmierci sen głęboki  
 Objął wszystko. Po chwili usłyszałem kroki,  
 Raz w lewo, raz na prawo wijące się śniegiem,  
 Jak zwierza, który strzelca chce omylić biegiem.  
 „Jeśli to wilk mnie wietrzy, czem ja się obronię?“  
 Lekkim tylko kosturem zbrojne miałem dłonie,  
 A w kobiałeczce nożyk do sera i chleba,  
 Lecz z krzesiwkiem; więc — myślę — ognia skrzesać trzeba  
 Skoro wilk się pokaże: wilk ognia się boi.  
 Dobyłem nóż i krzemień, patrzę; on już stoi.

„Krzyknąłem i za jodłę cofnąłem się krokiem.  
 Krzeszę ognia, wilk stoi, patrzy ma mnie wzrokiem  
 Takim, jakby żałował tego że mnie strwożył.  
 Księżyc świecił nań z góry, on się w śnieg położył,

Podniósł mordę i wietrzył czy sam jeden stoje,  
 I znów we mnie utopił jasnych oczu dwoje,  
 Świecących jak dwa węgle, a te mnie wzywały  
 Jakąś niemą wymową, bym szedł i był śmiały.

— „Nie uwierzę ja tobie mój pokorny wilku.  
 Ty leżysz a za tobą w krzakach czycha kilku,  
 I ledwie ztąd się ruszę, wpadną na mnie z kłami,  
 Wolę stać, i zamarznąć niż szarpać się z wami.“  
 A on jakby te wszystkie myśli odgadł we mnie,  
 Powstał, spojrział i począł odchodzić odemnie  
 Z łbem zwieszonym, chcąc pewnie przekonać mnie bieden,  
 Że nie mam się bać czego, bo on tu sam jeden.

„Nieraz gdym opowiadał, ludzie małej wiary  
 Mówili mi, że to był pies jak wilki szary,  
 A jeśli wilk, to pewnie pieszczony z podwórza.  
 Ja nie wątpię, że łaska spotkała mnie boża; —  
 Tylekroć mnie zbawiwszy z rozlicznego trudu,  
 Czemużby i z tym wilkiem Bóg nie działał cudu?  
 I wyznam że gdym w oczy patrzył mu z daleka,  
 Zdało mi się, że wilk ten ma oczy człowieka;

Swtorzon do krwi, nie szukał we mnie świeżej strawy —  
Patrzył bystro, lecz w oczach jak promyk bladawy  
Przebiła się czasami jakaś niema żalność,  
Od której mi do serca powracała śmiałość,  
I chociaż noc wczorajsza w pamięci mi stała,  
Coraz więcej pierś moja z nim się oswajała.  
A wilk jakby zrozumiał ca ja myślę w duszy,  
Stanął, wpatrzył się we mnie, w górę podniósł uszy,  
I pomiędzy jodłami krążył w około mnie,  
Coraz ciaśniejsem kołem, coraz bliżej do mnie,  
Aż przyszedł tak, że mogłem uderzyć go nożem,  
I stał, a jam czuł litość z tem stworzeniem bożem.

„Stalim tak. Ja czekałem czy na mnie nie skoczy.  
On mi ciągle jednako smętnie patrzył w oczy,  
Jakby mi chciał powiedzieć że mu źle w tym boru  
Gdzie każdy go się lęka jak złego upioru,  
I zabija gdy może oszczepem lub kulą.  
A czasem mu się oczka świecące tak czulą,  
Jak gdyby mi dziękował że ja z nożem stoję,  
I zaszkodzić mu nie ma złości serce moje.

— „Ha! to cud! ten wilk szuka z tułaczem przymierza.  
Niedola dzisiaj zbliża do człowieka zwierza,  
I takie między nimi tworzy obcowanie,  
Jak tam w raju gdy z ręki twojej wyszli, Panie.

„A po niejakim czasie, któż temu uwierzy?  
Wilk przystąpił, paszczką dotknął mej odzieży,  
I pociągnął za połę, potem odszedł kawał,  
Wrócił i znów pociągnął; tem znaki mi dawał  
Bym szedł za nim. Ha, myślę — nie ma co wybierać,  
Czy tu, czy głębiej w puszczy — jednako umierać —  
A może też cudowny, wszechmogący Boże,  
Z tej puszczy się wybląkać wilk mi dopomoże.  
I ruszyłem. On widząc to, podskoczył żwawo,  
Jak z radości, a potem szedł powoli w prawo,  
Oglądając się za mną, czy idę, czy stoję?  
Wiodło mnie tak godzinę to wilczysko moje,  
Aż do kłody, gdzie stanął, i tem znak mi dawał,  
Jak by czuł żem zmęczony, abym i ja stawał.  
Toż widząc tę troskliwość w wilku przyjacielu,  
Stałem jako stanął Ujasz na Karmelu,

Gdy znużonemu głodem skromne pożywienie  
Przyniosł nagle kruk czarny przez boże zrządzenie.

„Usiadłem błogosławiąc za cud niebios Pana.  
Wilk stał, czasem paszczką dotknął mi kolana,  
Spędzając mi sen z oczu, bo spałbym na wieki,  
Gdyby mi sen — na mrozie skleił był powieki.  
Ja zaś sądząc, że długo jeszcze iść mi trzeba,  
Dobyłem ser z kobiałki i kawałek chleba,  
Chcąc posilić się w drogę darem zacnej ręki.  
Lecz mam druha, więc sera uciąłem kęs mięki,  
I podałem wilkowi, by pożywał ze mną.  
On nie przyjął go, może przez litość nademną,  
A kiedym się posilił, znów mnie wziął za nogę,  
Dając znak że noc długa i czas ruszać w drogę.

„Ruszyli, wilk szedł przodem. Długo bór jednaki  
Ciągnął się. Wnet ujrzałem cśnieżone krzaki  
Leszczyny i jałowcu, jak na tamtej stronie,  
Kiedym wchodząc do puszczy żegnał jasne błonie.  
Więc i kres nie daleko, bo krzew tylko rośnie  
Z kraju borów. Serce mi jęło bić radośnie;

Lecz pomny, że tak samo krzewiem się poczyzna  
Polana, gdzie nocował, gdzie wilków drużyna  
Skakała ku mnie w górę, przestałem się cieszyć.  
Wilk szedł rażno, musiałem i ja krok przyspieszyć.  
Wreście stanął, ja stoję, patrzę: wielki Boże!  
Przedemną szczere pole, otwarte jak morze  
Ciągnie się, że oczyma trudno mi je zmierzyć!  
Patrzę na szczęście moje i nie śmiem mu wierzyć.  
I jak Mojżesz stał w skrusze przed krzakiem w płomieniach,  
Tak ja utkwivszy oczy w tę błoń, w nocnych cieniach,  
Kruszyłem się pacierzem wielbiąc wszechmoc Boga,  
Któremu w puszczy była widna moja droga.

„Wilk czekał, jakby więcej nie chciał mnie porzucić.  
Lecz kiedym szukał wzrokiem gdzie kroki mam zwrócić,  
Obejrzał się i ruszył skrajem puszczy w lewo,  
Gdzie ujrzałem z daleka we mgłach nocnych drzewo,  
I chatę na opłotek skłonioną pochyło,  
I dwa okna, a w oknach światło się świeciło.  
Tu stanął mój druh wierny, przewodnik mej drogi,  
Patrzył mi długo w oczy, łasił się u nogi;

Jam go głaskał i płakał i modlił się: „Panie!  
Niech się nigdy to zwierze strzelcom nie dostanie;  
Udziel mu pożywienia od ludzi zdaleka —  
On jest głodny, a przecież ocalił człowieka.“

„Potem zawył żałośnie mój wilk, spuścił głowę,  
I począł iść powoli w otchłanie jodłowe,  
Oglądając się za mną czy idę, czy stoję.  
Stałem, pokąd nie znikło w boru zwierzę moje,  
I poszedłem do chaty, gdzie spędziłem dni kilka —  
Lecz odtąd jużem nigdy nie strzelał do wilka.

„Z chaty'm ruszył w legjony; leksza była droga.  
Przecierpiało się wiele i biło się wroga.  
Teraz powracam z Baru, gdzie zginał kolana  
Przed moźnym cudotwórcą, pielgrzym z woli Pana.  
Ale ktokolwiek, dzieci, dobrej sprawie służy,  
Niech się nigdy nie lęka przygód, ani burzy;  
Ani przepaści, które stawiają przegrody,  
Ani dzikiego zwierza, ani bystrej wody,  
Ani od zwierząt często sroźszych, dzikszych ludzi.  
Niebezpieczeństwa przed nim Pan na chwilę budzi,

A jeżeli je sercem zwycięzko pokona,  
To w niebie tam aniołom radość nieskończona,  
I takiego zwycięzcę na swych skrzydłach niosą,  
Kędy sobie zamierzył, by nie stąpił boso  
Gdzie na gadzinę podłą, lub podlejszą duszę.  
Toż jeśli wam któremu droga, jako tuszę,  
Wypadnie w świat daleki dla narodu sprawy,  
Pamiętajcie co mówię: Dobrym Bóg łaskawy,  
I sług swoich nie gubi, lecz je chętnie waży,  
By świat wiedział na co się szlachetność odważy!“

1861.



## OJCOWSKIE SŁOWO.

„Będziesz miłował brata swego.“

Zgasły zorze, wieczorne niebiosa  
Skry po fali rozsiały wiślanej.  
Na murawie w perłach szkli się rosa,  
Szmerem kłosów rozmawiają łany;  
Ziemia, gwiazdy w słodkiej ciszy toną,  
Tylko polskie nie wie o niej łono.

Rokosz, rokosz w Koronie, na Litwie!  
Zebrzydowski, Radziwiłł przewodzą.  
Senat radzi, król myśli o bitwie,  
Starcy braci poważnionych godzą,  
Ale zgoda z dnia na dzień się wlecze —  
Strzeż ich Marjo! chwytają za miecze!

A Szwed w polskich granicach — Lecz wieki  
I dla wnuków bez przestróg minęły!  
Nam Najświętsza! Twej użyż opieki!  
Nam daj łaskę, gdyż klęski nas zgjęły,  
I nieszczęścia dzień każdy nam trują —  
Ach! nie wróg nas, lecz właśnie mordują.

Zgodą serca nam natchnij, a wstaniem  
Jak lwy mocni i nieustraszeni! —  
Lecz cyt! hasło wydano trąb graniem,  
Obozowych blask strzela płomieni —  
Król pod miastem a rokosz na błoniach,  
Noc spędzają; straż czuwa przy koniach.

A w obozie krolewskim od błoni,  
Konięcpolski usiadł wojewoda.  
Siwy starzec twarz oparł na dłoni,  
Pancerz biała okryła mu broda,  
I zadumał się smutno, że z braćmi  
Walczyć musi, nim oczy śmierć zaćmi.

A to może już chwila ostatnia  
Rycerskiego zawođu i chwały.  
I do ręki mu przyschnie krew bratnia,  
I do grobu ją weźmie dziad biały  
I nie zmyje jej niczem — „O Boże!  
Niechże tu nas twa łaska wspomóże.

„Szabło moja!“ rękojeść tu ścisnął  
Dziad, dumając: „Przepada nam sława!  
Moskwie, hordzie, wszak brzeszczot twój błysnął,  
Krwiań turecką bywałaś ty krwawa;  
Jutro szabło! — ha! król mi tak każe,  
Jutroć we krwi Zebrzydowskich zmażę.“

I potoczył oczyma po błoni,  
Gdzie stał rokosz zebrany w gromadzie.  
Myśl za myślą posępna w dal goni,  
A na twarz się ponury mars kładzie,  
Wtem do starca przystąpił syn zbrojny,  
Pan Stanisław, młody, niespokojny.

Dziś raz pierwszy przyodział on zbroję  
Wytęsknioną na szkolnej ławicy.  
Klnie noc długą, jutrzejsze śni boje,  
Śni o sławie, miecz ściska w prawicy,  
Piękna postać, a oko mu strzela,  
To piorunem, to blaskiem wesela.

Dwoje skrzydeł sterczących u ramion  
Same zda się uniosą go w pole . . . .  
Czyjeż barki dziś godne tych znamion?  
Kto ma piersi dziś takie sokole?  
Polsko-matko! o przemów do dzieci,  
Niech to ptactwo powstanie i leci! . . . .

Więc gdy starzec obaczył młodziana,  
Rozpogodził oblicze surowe:  
„Jeszcze gra mu rycerska nieznana,  
A tak wrosł mi w odzienie stalowe.  
Na pociechę Koronie tej rośnie“ —  
I uśmiechnął się starzec radośnie.

Lecz po chwili zesmutniał i, syna  
Mierząc ostro, do siebie tak prawi:  
„Dziś on zawód rycerski poczyna,  
I na braciach że rękę zaprawi?  
Biadaż jego młodości i ręce,  
Jeślić tak go rycerstwu poświęcę!

„Synu!“ doń się odezwie żałośnie,  
Wolnyś jeszcze i służby nieświadom.  
Na najezdców niech wasze mi rośnie;  
Młodzież Polsce niech służy, nie zwadom!  
Z braćmi walczyć ja ci nie pozwolę.  
Wracaj — wracaj do gniazda, sokole.

„Ja pamiętny mej służby, królowi  
Sam rokoszan nakłonię do prawa.  
Jeszcze ręka nie krzepnie starcowi,  
Choć Bóg widzi jak boli ta sprawa.  
Lepszy dzień cię wawrzynem osłoni;  
Nie zaprawisz na braciach ty dłoni.“

Rzekł i ręką ojowską mu skinął.  
Ucałował syn rękę ze łzami,  
I na zbroję wnet burkę nawinał,  
Dosiadł konia i pomknął polami,  
A dziad ukląkł i Boga pochwalił,  
Że od bratniej krwi syna ocalił.

I wymodlił znać łaskę u Boga,  
Bo syn dojrzał na chwałę Koronie.  
Gromił Turka, Moskala bił wroga,  
Za Szwedami rozpuszczał pogonie,  
A nie przelał krwi bratniej ni razu,  
Hetman, pomny rodzica nakazu.

1862.

## ŚMIERĆ ZYSZKI.

Z Czech wyruszyli bracia, panowie  
Na Rakuszana w Morawę.  
Na bój ich wiodą wielcy wodzowie,  
Jan Zyszka dzierży buławę.

Jan Zyszka ślepy; niemieckie strzały  
Oczu wyzarły mu dwoje.  
Lecz widzi duchem jakby w dzień biały  
Gdy przyjdzie z Niemcem zwieść boje.

I straszne wrogów gromi ramieniem;  
Szeroko grzmi o tem sława.  
Pierś mu goreje wielkim płomieniem;  
Ten płomień światło mu dawa.

A tym płomieniem szlachetna, święta  
Miłość ojczyzny, cześć Boga.  
Wieki hetmana Czech zapamięta,  
I nie zapomni kark wroga.

Do Przybysławia przyszli wieczorem  
Rozgrzani bojem i drogą;  
W krąg zatoczyli wozy taborem  
I warzą strawę ubogą.

I o zwycięztwach gwarzą weseli,  
O klęsce Niemców i zgrozie  
Jutro, gdy pierwszy promień wystrzeli  
Będą w Albrechta obozie.

Lecz cyt! wieść głucha gromady mięsza.  
Mięszają tłum rozhowory.  
Pod namiot wodza ciśnie się rzesza:  
„Nasz hetman! Zyszka Jan chory!“



Zaniemógł Zyszka po boju srodze,  
Na twardem posłaniu leży.  
Do koła niego strapieni wodze,  
I orszak smutnej młodzieży.

Ale nie złaman hetman na duszy,  
Choć wie, że przyszła godzina;  
Z twardego łoża jak lew się ruszy,  
I wodzów tak napomina:

„Czesi, Morawcy, Polacy \*) mili,  
Serdeczny, druży narodzie!  
W ostatniej bracia, proszę was chwili,  
Miłujcie wy się we zgodzie.

„Noście otwarte serca przed Bogiem,  
Czyste, jak wasze powietrze.  
A kto z was kiedy bratał się z wrogiem,  
Niech we krwi hańbę tę zetrze.

---

\*) W wojnie przeciw cesarzowi Zygmunтови, jego zięciowi Albrechtowi i Niemcom wspierało Husytów 5000 Polaków pod wodzą księcia Zygmunta Korybuta.

„Nieszczędźcie trudu, rąk ni oręza!  
Tchórz tylko spokój wybiera.  
Kto ród giermański w boju zwycięża,  
Szatanom głowę ten ściera.

„Oni tu wnieśli hańbę, niewolę,  
Jak śmierć szatanie do raję.  
Kłamstwami bożę zasieli rolę,  
Cześć ojców wyparli z kraju —

„Toż w boju z nimi nie odetchniecie,  
Nie opuścicie ramienia!  
A nienawidzić ród ten będziecie  
We setne aż pokolenia! —

„Gdy skonam, ciało moje ciśnijcie  
Niech sępom na żer posłuży.  
Skórą z mych barków bęben pokryjcie,  
Niech bębniąc Niemcom zgon wróży!“

Tak rzekł i skonał, i zwiesił głowę  
Na pierś ostygłą bez tchnienia.  
Ale hetmana słowa gromowe  
Z pokoleń grzmiały w pokolenia.

I zawsze rolnik w nocy majowej  
Gdy zanocuje na błoni,  
Słyszy w powietrzu bęben Zyszkowy,  
Bijący na gwałt: „do broni!“

1862.

## KANONIK PSTROKONSKI.

Zbrojno stanęli na Guzowskich błoniach,  
Rokosz po jednej, król po drugiej stronie.  
Już harcownicy skoczyli na koniach,  
Już polska kopia w polskiej piersi tonie,  
I szyszak pęka pod ciosem na skroniach;  
Mnogo dział śmiercią z tąd i z owąd zionie —  
Ach! brata wali każdy cios i działa —  
Polsko! czyż innych wrogów ci nie stało?

Trudnoż ci było na sejmowej ławie  
Domową kłótnię skończyć rozhoworem?  
Na wschód widziałaś lecące żórawie  
Z złowrogą pieśnią po nad carskim dworem.  
Ale czart twojej pozazdrościł sławie,  
Czart synów twoich serca natchnął sporem,  
I popłynęła krew z twojego łona —  
Brat brata mieczem ciął — Tyś powalona!

Cyt! teraz orzeł biały ci pokaże  
Rycerską drogę cześci i zbawienia . . . .  
Oto złamane już królewskie straże  
Huf Radziwiłła zgrozę rozprzestrzenia;  
Hurra! skrzydlaci pierzchają husarze,  
Wyniosłe kopie tuląc do strzemienia,  
Sztandar królewski, sztandar z orłem białym  
Unoszą z pola przed hufcem zuchwałym.

Lecą, a na nich z zgrozą patrzy zdala  
Prałat Pstrokoński, który godził strony.  
Gniewem starcowi oko się zapala,  
Na lica płomień uderza czerwony:  
— Nie pierzchlić oni przed szablą Moskala,  
Lecz orzeł, orzeł biały pohańbiony,  
W ucieczce święty znak polskich rycerzy! —  
Dosiadł więc konia starzec i w cwał bieży.

Pędzi śród gradu kul, a na ramiona  
Włos mu się biały pierścieniami toczy.  
Zadziwiał mężów jego twarz natchniona;  
Ten, ów z goniących z drogi mu uskoczy:

Nie dba, czy zdrowo minie ich, czy skona,  
Choć nigdy śmierci tak nie patrzył w oczy —  
Jakaś nieziemska moc tym starcem włada —  
Leci i prosto na chorągiew wpada.

I jako wichur, co żagle rwie z łodzi  
Z rąk ją przemocą wydziera zbladłemu:  
„Bratanku — woła — polska krew cię rodzi,  
Dajże ty inny lot ptakowi temu!  
Na wrogów nieś go waść jako się godzi,  
Z pól nie uciekać orłowi białemu!  
Nieś go tam chłopcze śmiało w imię boże —  
Ten orzeł tylko naprzód lecieć może!“

I czyni młodzian, jako stryj mu każe,  
Na Radziwiłła ze sztandarem goni.  
Za orłem lecą skrzydlaci husarze,  
Z pochylonemi kopiami ku błoni.  
Wpadli w szeregi jak śmierci żniwiarze;  
Sto ciosów każdy niesie w mściwej dłoni,  
I wypędzają rokosz z pola chwały —  
Z chorągwi na nich patrzy orzeł biały.

Patrzy radośnie i wstrząsa skrzydłami,  
Rzucając blaski na zwycięzców głowy . . . .  
I przeszumiały wieki nad polami,  
Wieki pisane piorunem Jehowy —  
Orle nasz! kiedyż zjawisz się nad nami?  
Kiedy nas w ogień powiedzisz bojowy?  
Wzleć — wzleć! my pomni hasła twojej chwały:  
Że tylko naprzód leci orzeł biały.

---

## DZIADUŚ.

Kibitki stają przed dworem,  
We dworze światła goreją;  
Tam stary dziaduś wieczorem  
Dziatwie i wnukom koleją  
O bojach za Polskę prawi,  
I przyszłość ich błogosławi.

„Służcie ojczyźnie!“ — tak woła —  
„Zgubion, kto Polsce nie służy.  
Ani przy śmierci anioła,  
Ni ciszy serca wśród burzy  
Nie będzie dusza mieć taka,  
Hańbiąca imię Polaka.



„Upadlim, ale powstaniem!  
 Nikczemni tylko znikają.  
 Pan bliski ze zmiłowaniem,  
 Gdy serca w dzielność wzrastają —  
 Służcież ojczyźnie wytrwale“ —  
 Wtem we drzwiach stają Moskale.

Przełękła wnucząt gromada  
 Do dziadka ciśnie się drżąca;  
 Jak kłósie do nóg mu pada,  
 W oczy się patrzy milcząca;  
 Jęknąć słóweczko się boi.  
 Moskale stoją — dziad stoi.

„Miatieżny!“ — sprawnik w tem rzeczce —  
 „Na ciebie Sybir jest w prawie.  
 Tyś krzyż postawił człowiecze  
 Za postrzelanych w Warszawie —  
 Ty kochasz plemię to wraże; . . . .  
 Car w Sybir odwieść cię każe.

I skinął, by mu okuli  
Lańcuchem ręce i nogi.  
Do dziadka dziatwa się tuli,  
Mimo żołdaków batogi:  
„O dziadku!“ — woła ze łzami,  
„O! broń się! pozostań z nami!“

„Bóg z wami!“ dziaduś odpowie —  
„Ojczyźnie służcie wytrwale!  
Ja na Sybirskie pustkowie  
Gdzieś kości moje powalę,  
Lecz duch mój będzie nad wami  
W niebiosach między gwiazdami.“

1862.



## RABIN.

Siadł rabin w smutku, pyta ksiąg mądrości,  
 Jakiemi słowy cieszyć lud strapiony?  
 W łono mu co dnia, jak w urnę żalości  
 Zlewają swoje łzy i krew miliony . . . .  
 Ach! i nie budzi Pan mścicielów z kości,  
 Polsce cierniowej nie zmienia korony! . . . .  
 Wstał i na miasto poglądając łzawo:  
 „O! Jeruzalem — jęknął — o! Warszawo!“

A w tem posłowie doń z niemieckiej ziemi  
 Wchodzą i głoszą bratnie pozdrowienie:  
 „„Rabinie! rzecz — tu Hiobowemi  
 Łzami ty płaczesz na krew i zniszczenie;  
 Tu wróg mieczami grozi ci ostremi,  
 Sławę zaciera i roztrąca mienie —  
 Pójdź do nas! porzuć synagogi krwawe —  
 My damy'ć mienie, i spokój i sławę.““

Słucha ich rabin, i rzecze: „Posłowie,  
Na sądzie Pana przeniewiercom biada!  
Jam się tu zrodził, tu służąc Jehowie  
Zginę, gdy zginie braci mych gromada.“ \*)  
„„Rabinie! — poseł niemiecki odpowie —  
Nie miotaj darów, które'ć kraj nasz składa;  
Zważ: Przyjaciółmi nam królowie świetni,  
A przy tej Polsce kto stoi?““

„Szlachetni.“

1862.

---

\*) Tak odpowiedział rabin Jastrów w Warszawie wysłańcom z Manhajmu.

---

## SEN PANA BOWBLEWICZA.

O porannej godzinie  
Na Kiejdańskiej równinie  
Stała młodzież wileńska pod bronią.  
O staj małą od wiary  
Stali dońce — ogary  
I piechota — cyt! trąbki już dzwonią.

Moskwa ogień poczyna;  
Drzy od huku równina,  
Ale naszym ładunków nie staje:  
„My z bagnetem bezpieczni; —  
Na bagnety! waleczni!“  
Gronostajski \*) wnet rozkaz wydaje.

---

\*) Gronostajski i Klimaszewski, obaj byli profesorami szkół wileńskich, naczelnikami spisku młodzieży tamże, a później w rewolucji r. 1831 dowódcami korpusu wileńskiego. O wypadku Bowblewicza wspomina Spacir.

Wciasny szereg się skuli,  
Poszli, strzelców wykłuli;  
Pan Bowblewicz, ochotnik na przedzie,  
Krzywd uniesion odwetem  
Za trzech kłuje bagnetem,  
Śmierć roznosi w żołdaków czeredzie.

Rażno z bronią się zwija,  
Tych na wylot przebija,  
Tamtym kolbą rozwala paszczęki.  
Lecz się zachwiał — o! biada!  
Pan Bowblewicz upada,  
Broń mu z drżącej usuwa się ręki.

Niechże w Bogu spoczywa,  
Jego dusza szczęśliwa  
Pośród śpiewań anielskich na wieki.  
Gdy się młodzież cofała  
W porę śmierć go spotkała —  
Ale cicho — otworzył powieki.

Nie! to tylko się zdało.  
Już w nim serce skostniało;  
Z żalem młodzież zostawia go w polu.  
Dziesięć razy w pierś pchnięty,  
Dwakroć szablą w twarz cięty;  
Krew spłynęła, — zgasł wiarus bez bolu.

I ucichły pogonie,  
Noc się spuszcza na błonie,  
Księżyc liczy poległych z wysoka.  
Nim go ranek zagasi,  
Liczy, srebrem ich krasi,  
A na polach w krąg cisza głęboka.

Przebóg! czy to złudzenie?  
Czy księżyc promienie  
Budzą zmarłych? — Bowblewicz powstaje.  
Jego oczy natchnione,  
Jego lico zdumione —  
Patrzy — дума; gdzie jest, nie poznaje.

Patrzy, dziwi się, słucha:

„Zkąd ta — rzecz — noc głucha?  
Morze światła widziałem przed chwilą.  
Czy mi oczy blask strudził?  
Czym ja ze snu się zbudził? —  
Nie! to nie sen — to oczy mnie mylą.

Myśli . . . . A w tem po błoniu  
Pędzi Moskał na koniu;  
Pan Bowblewicz karabin porywa;  
Otarł, nabił, przykłada,  
Mierzy chwilę; strzał pada,  
Kula piersi Moskala przeszywa.

Rumak stanął jak wryty.  
Moskał strzałem zabity  
Miał depesze — Bowblewicz je bierze,  
Siada na koń i goni . . . .  
— Cyt! litewski róg dwoni,  
„Ha! to nasi nocują żołnierze!“



Prosto w obóz więc wali . . . .

„Wszelki Boga duch chwali!“

Woła czata zoczywszy przybysza.

„Milcz waść!“ jeździec odrzecz —

„Ja żyw jestem człowiecze —

Jam Bowblewicz; poznaj towarzysza!“

Cały obóz powstawa:

„Zkąd ty?“ „Witaj!“ grzmi wrzawa —

„Jakżeś trupów porzucił waść rzeszę?“

— „Wracam z nieba więc z dala.

Zastrzeliłem Moskala,

A to, rzecze — zdobyte depesze.“

Oddał, z konia zesiada,

I tak dalej powiada:

„Towarzysze! nie śmieście się — proszę!

To nie żarty, nie baśnie;

Niech mi wzrok mój zagaśnie,

Że niebieskie widziałem rozkosze!

„Kiedym upadł w krwi własnej,  
Świat otoczył mnie jasny,  
Czarujące owiało mnie pienie;  
Aniołowie mnie wzięli,  
W niebo ze mną lecieli  
W jasne niebo, na wieczne zbawienie.

„Ktoż te cuda opowie?!  
Są tam nasi wodzowie,  
Męczennicy i króle i święci;  
Naród liczny jak fala —  
Lecz żadnego Moskala  
Nie widziałem; znać wszyscy przekłęci.

— „Witaj! — na mnie wołali.  
Niejednegoście znali,  
Których ja tam zdybałem niesiony.  
Bezmiar szczęścia w niebiosach,  
Nasze dziewczki we włosach  
Z białych lilij tam noszą korony.

„W tem bacz! rzesza nadchodzi:  
Sam Kościuszko rej wodzi;  
Patrzę — lico jak słońce mu pała.  
Ustępują się pany  
Kłaniają się hetmany,  
Bo ta rzesza za Polskę krew dała.

Dziatwa w Pradze wyrznięta  
Do Kościuszki rączęta  
Wznosi, rany wskazuje na szyi.  
On główeczki im gładzi,  
Potem zbiera, prowadzi  
Do najświętszej Paniienki Maryi.

„Panna orła z pogonią!  
Pokazuje im dłońią,  
Słodko mówi o naszej przyszłości.  
A ta przyszłość — o! Boże —  
Wielka, jasna jak morze,  
Pełna chwały i Twojej światłości.

„Tam to wszystko widziałem —  
Na twarz z rzeszą padałem . . . .  
Czemuż zostać nie mogłem tam z niemi?!  
Lecz nie! lepiej żem ożył;  
Ot Moskala'm położył,  
Znać'em jeszcze potrzebny na ziemi.“

---

## ŚMIERĆ LEVITOUX.

Był na cytadeli sąd na miatieżników,  
Więc siedli jak czarci za stołem:  
Jenerał, adjutant i czterech piszczyków,  
Ze sercem miedzianem i czołem.

I rzecze adjutant: „Bał'ku jenerale,  
Czart chyba się z Lachów co dowie.  
Wziął pałki Levitoux, lecz milczy zuchwale.“  
— „Sto pałek! pod pałką odpowie.“

Straż stawia Levitoux skutego w kajdany,  
I biorą na rozpyt go kaci.  
Wnet zdjęto zeń szaty, co kryły mu rany,  
A sędzie wołają: „Zdradź braci!“

A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej  
Krzyż z panem Jezusem na ścianie.  
Levitoux wzrok jasny utopił w krzyż pański,  
I modlił: „Daj sił mi o Panie!“

I poszedł pod pałki w pół nagi, bez lęku;  
Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały.  
Choć bito go w rany, nie wydał i jęku,  
I milczał jak zakamieniały.

A gdy go złożono na nędznej pościeli,  
Rozwahał czy ciało wytrzyma  
Te męki, bo znowu tak chłostać go mieli  
Sędziowie. I poczuł: sił nie ma.

Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,  
Bo stu by zginęło ich może.  
Toż westchnął do Boga o męki ostatnie  
I ognia nasypał pod łożę.

I usiadł na łożu spokojny, bez lęku,  
Gdy jasne płomienie wstawały.  
Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku,  
I milczał jak zakamieniały.

Przez kraty wnet bracia płomienie ujrzeli,  
Straż alarm krzyknęła w podsieniu;  
Jenerali draby wpadają do celi  
Levitoux już skonał w płomieniu.

Więc z zgrozą ten węgiel rzucili w rogoże,  
I w ziemi kazali pochować.  
Tą śmiercią w płomienach pochwalon bądź Boże,  
Bo żywym ją będziesz rachować!

1860.

---

## DZIEWECZKA.

(Z dni mordów warszawskich.)

Kiedyż na te popioły i kości  
 Zmartwychwstania anioł z niebios zleci?  
 Polsko święta kapłanko wolności,  
 Podająca pod nóż twoje dzieci,  
 Kiedyż lud twój sztandary rozwinie? —  
 Ach! ty żyjesz krwią co z ciebie płynie!

\* Niech z krwi twojej świat umywa ręce  
 Jako Piłat z Chrystusa . . . . Wstyd ludom!  
 Ile kroć ty jękniesz w krwawej męce,  
 Tyle kroć ty bliższa Bogu, cudom,  
 Co podnosząc ciebie świat przerażą . . . .  
 Oto stoisz znów z skrwawioną twarzą!

\*

\*

\*



Od Powązek lud powracał z krzyżem,  
 Kędy odniósł na spoczynek brata,  
 I grób darniem obłożył mu świeżem  
 Za spędzone na Sybirze lata; —  
 Tam nań śniegi i zamiecie wiały,  
 Tu mieć będzie bluszcz i jaśmin biały.

Starcy pacierz szeptali, kobiety  
 Wiodły dzieci, a młodzież gorąca  
 Szła dumając: rychło na bagnety  
 Dadzą hasło? . . . . rychło trąba grzmiąca  
 W bój powoła? Tak szli ku kolumnie,  
 A z kolumny Zygmunt patrzył dumnie.

Tu stanęli, a dziewczeczki trawę  
 Rwaną z grobów między lud rozdały  
 Na pamiątkę krwi, co już w murawę  
 Porastała. Anioleczek biały  
 Jedna klęka złożywszy rączęta,  
 I poczęła: „Zbaw nas Matko święta!“

Oczętami, co gwiazdkom podobne  
Utonęła w niebiosach błękitne.  
A lud patrząc na to dziewczę drobne  
Kląkł, jak kłosa uklękają żytnie  
Gdy zachodni wiatr przeciągnie łanem;  
Tak lud uklękł na rozmowę z Panem.

I rozpoczął pieśń, a Bóg jej słucha;  
Carski wódz jej słucha przerażony.  
Bóg ludowi łaską krzepi ducha,  
A wódz zbrojne stawia bataljony:  
„O! nim przebrzmi — rzekł — ta pieśń złowroga,  
Nim Bóg miecz im da, uprzedzę Boga.“

I wnet rzeszę modlącą Moskale  
Rotowemi powitali strzały.  
Warczą kule, krew jakby korale  
Z piersi na bruk rozlewa się biały —  
Jedni giną cicho, drugim z łona  
Płynie razem pieśń i krew czerwona.

Starców zapal unosi, spokojna  
Młodzież śmierci upada w ramiona.  
Patrz ty carze, jak rzesza niezbrojna,  
Jak w moc Boga wierzący lud kona! . . . .  
Ludzie giną, a dziewczeczka stoi  
Cicha, w jasnej niewinności zbroi.

I na kule czeka co jej braci  
I siostrzyczki porywały w koło.  
Wie, że Polsce Bóg jej krew zapłaci  
Więc chce zginąć; a wódz sroży czoło,  
Woła gniewny: „Ten lud kul nie czuje —  
Niech go jazda końmi roztratuje.

Więc konnica na klęczących goni,  
Rąbie starców głowy, kłuje dzieci.  
A dziewczeczka wśród połysków broni  
Stoi, lecz już żołdak na nią leci:  
„Jezus-Marja!“ krzyknęła i czeka,  
Lecz się w konia patrzy, nie w człowieka.

I pewniejsza że swemi oczyma  
Rychlej czucia dopatrzy w zwierzęciu.  
Ostrogami party koń się zżyma,  
Skacze z jezdce w bok, a szabla w cięciu  
W głaz uderza; . . . . z szabli skry czerwone  
Nad dziewczką zbiegły się w koronę.

\* \* \*

Tak o Polsko! i od twego łona  
Bóg odwróci rychło ostrza mieczy.  
I ty Polsko, staniesz podniesiona  
Na szatanie, co cię dziś niweczy,  
I ty głowę zetrzesz mu zdradziecką,  
Ale czystą bądź jako to dziecko.

1861.

---

## SESTYNY.

(Finale.)

Lećcie me pieśni! niech wam towarzyszy  
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy.  
Zwiastujcie burzę wśród gniotącej ciszy,  
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;  
Lećcie, witajcie ludzi po kolei  
Jak ptactwo wiosny okrzykiem nadziei.

Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,  
Może wy natchnień ostatnim wyrazem! . . . .  
Dni piorunowych serce się spodziewa,  
Ztwardniała ręka tęskni za żelazem;  
W powietrzu słyhać pobudkę na boje! . . . .  
Już czas! już czas nam! — Lećcie pieśni moje!

O! gdyby kiedyś, po złamaniu wroga,  
Polskiej krainie zaśpiewać na chwałę! . . . .  
Żegnajcie pieśni! . . . . Przyszłość w rękę Boga —  
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;  
Wrzącym strumieniem krew po żyłach bieży,  
Łono przebiega dreszcz, lecz serce wierzy.

Jeżeli polegnę, niechaj mi w nagrodę  
Za was nie kładą pamięci kamienia.  
Ziemią niech piersi przesypią mi młode;  
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,  
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,  
Niech nad nim ptak się jak mój duch unosi.

1862.

**Bayerische  
Staatsbibliothek  
München**

Drukiem F. A. Brockhousa w Lipsku.









